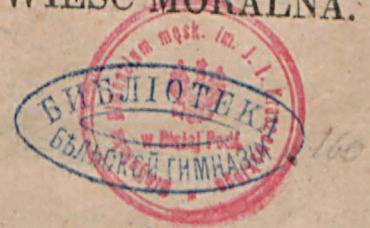


~~№ 185.~~

№ 62.

MAŁY HENRYŚ,
POWIEŚĆ MORALNA.



№ 1652

OSTRZEŻENIE.

Dla wysłedzenia przedrukowania tego
Dzielka przedsięwzięty został środek niezawodny
rozróżnienia edycyi prawej od sfałszowanej.—
Ostrzega się przeto, że wszelkie nadużycie
tego rodzaju ściśle dochodzone będzie.

MAŁY HENRYŚ,

POWIEŚĆ MORALNA, 491

PRZEŁOŻONA Z NIEMIECKIEJ 52

PRZEZ
PEWNA POLKE.



Za pozwoleniem Cenzury.

z Biblioteki „Głosy” Biał.

W PŁOCKU,

DRUKIEM KAROLA KULIGA, TYP: WOJEWÓDZKIEGO.

1 8 2 6.

Approbata Duchowna.

Powieść Moralna MAŁY HENRYŚ, z Niemieckiego języka przełożona, iako niezawierająca w sobie nic przeciwnego wierze i dobrym obyczajom, a zdolna do podniesienia myśli w czytającej młodzieży, ku Bogu i Jego świętej Opatrzności, sądzę, iż może być drukowana.

w Warszawie u S. Krzyża, dnia 12. Marca 1826. roku.

X. Michał Seronowicz,

Cenzor ksiąg w Archidiecezyi Warszawskiej mpp.

JAŚNIE OŚWIECONÉJ
KSIĘŻNIE
IZABELLI Z FLEMINGÓW
CZARTORYJSKIEJ

WZOROWÉJ AUTORCE
ULUBIONEGO PIĘKGRZYMA



~~17~~
~~140~~
~~2528~~

Wydawca.

PRZEDMOWA.



Przyznać należy Niemcom, że, prawie ze wszystkich Narodów oświeconych, najusilniej pracują nad kształceniem umysłu. Pomyślny skutek wieńczy też ich pracę, i mają bardzo wielu w pośród siebie ludzi prawdziwie uczonych. Ta uczoność bez wielkiego mocołu im przychodzi, a to dla tego, że z samego dzieciństwa kształcić się do niej mogą.— U nich bowiem wychodzić zaczęły najpierw owę moralne oraz i powabne

dzieła, które tak silnie gust do czytania w dzieci wpajają. Kampe pisał przed Berkienem, Glac (Glatz) przed Autorką Pamiątki, jeden i drugi tak Francuzkiemu Pisarzowi, jak Polskiej Autorce, wiele myśli dostarczyli i dostarczają, do rozlicznych pism dla Dzieci. Niniejsza Powieść wzięta jest także z Niemieckiego. Tkliwa jej osnowa, czysta moralność, stały się pobudką, osobie Dzieci kochającej, do przełożenia jej na język Ojczysty.

MAŁY HENRYŚ.

ROZDZIAŁ I.

*Czuwać nad dziećmi, jest to sprawa
Aniela.*

W odwiecznym i spaniałym gmachu obszernymi borami otoczonym, żył przed stą laty Hrabia Fryderyk Ejchenfels, z żoną swoją Adelaidą. Dziecię, piękne, jak Anioł, jedyńy zakład wzajemnej miłości, jeszcze było w kolébce, ledwie zaczynało wymawiać słodkie imie Taty, gdy Hrabia udał się na

Mały Henryś.

wojnę. W smutném oddaleniu drogiego Małżonka, Hrabina nie miała innej pociechy, prócz w małym Henrysiu; samotność niezatrwoży dobrej Matki przy swoim dziecięciu, niewinna, a prawdziwa rokosz, której doznaje, stanie jej za najprzyjemniejsze społeczeństwo.— Adelaidą zakładała sobie poświęcić się zupełnie wychowaniu Syna, a w nagrodę trudów macierzyńskich, już przewidywała szczęśliwą chwilę powrotu Małżonka: już sobie wystawiała, jak wybiegnie naprzeciw niego z lubém Dziecięciem na rękę: już widziała w oczach ojcowskich najwyższą radość, podziwienie i wdzięczność dla tej, która mu tak miłą rokosz przysposobiła.

W tak przyjemnych marzeniach, chwile oddalenia mniej opieszale schodziły. Jednego wieczora Hrabina siedziała w swoim pokoju, trzymając Syna na kolanach, Justyna piastunka Dziecięcia, chcąc go zabawić, pokazywała mu kwiatki świeżo zerwane, Dziecię chwyciło je chciwie rączynami, Matka mile się uśmiechając, cała zajęta była tak przyjemnym widokiem; gdy w tém postrzeża wiernego sługę, który pojechał z Hrabią do wojska. Wybiega z pośpiechem, w nadziei pomyślnych wiadomości: ale przerażona smutkiem, wyrytym na twarzy sługi, truchleje.— Posłaniec opowiada jej że łzami, że Hrabia, niebezpiecznie raniony, pragnie raz jeszcze widzieć ją przed śmiercią.

Hrabina, sama, jak śnieg blada, wypuszcza Dziecię z rąk drżących, i boleśnym krzykiem przeraża wszystkich.— Napróżno sługa usiłuje ożywić w niej nadzieję, napróżno zapewnia ją, że Pan jeszcze może odzyskać zdrowie, pośpiech, z jakim przynagla jej wyjazd, dowodzi aż nadto, że niema chwili do stracenia, jeżeli chce Męża zastać przy życiu.

Adelaïda chce jechać natychmiast, dniem i nocą. Przyciska Syna do serca, obléwa go łzami: „Lube Dziecię, mówi do niego, nieznasz powodu łez moich? nieszczęsne, stracisz Ojca, i znać go niebędziesz! o jakże mi bolesno, że Cię wziąć z sobą niemogę! Ale tak przykra podróż, wśród zamięszek wo-

jennych! ani pomyśleć można. O Justyno! Tobie powierzam to drogie Dziecię, miłość i nadzieję Panów: czuwaj nad niem, nieodstępuj na chwilę, nawet śpiącego, miej o niem staranie, jak w mojej przytomności. W piękne poranki wynoś go na świeże powietrze, śpiewaj mu ładne piosnki, mów do niego z słodyczą, dostarczaj mu kwiatków i przyjemnych zabawek: strzeż, żeby niewziął w rączkę, czémby sobie mógł szkodzić; nadewszystko unikaj z niecierpliwienia, gdy, jak często dziecięciu się zdarza, słabém lub natrętném będzie: niech zawsze widzi twe czoło wypogodzone, łagodny uśmiech na ustach. Czuwać nad dziećciem, jest to sprawa Anioła.—

Bądź opiekuńczym Aniołem mego.—
Przyrzeknij mi, że dopełnisz, co Ci
załécam, ażebym spokojną być mogła.
Liczyć będę chwile do powrotu, jeśli
go zastanę w zupełném zdrowiu, w mia-
rę przywiązania mego, spodziewaj się
nagrody: będziesz miała prawo domaga-
nia się wszystkiego od wdzięcznej Matki.”

Justyna przyrzekła wszystko dopeł-
nić.— Hrabina, uściskawszy ostatni
raz Dziecię, błogosławiła mu; wzniosł-
szy oczy, łzami zalane, do Nieba, wzy-
wała dla niego opieki Boga.— Nako-
niec, gwałt sobie czyniąc, oddała go
Justynie; wsiadła do powozu, przy ża-
łosnych jękach domowych i włościan,
i wyjechała wieczorem, w porze zim-
nej i dżdżystej.

ROZDZIAŁ II.

*Wielkie nieszczęście. Skutki jednego
nieposłuszeństwa.*

Justyna była to biedna i młoda siéro-
ta, słodka, ujmująca, zawsze wesola
i przyjemna. Dla tego ją téż Hrabina
przyjęła za piastunkę, a więcej jeszcze
za Ochmistrzynią małego Henryśia. Du-
mna z tak chlubnego urzędu, czule
się przywiązała do niego; już przez
wdzięczność dla Hrabiny: już to, uwa-
żając w nim przyszłego Pana swego.—
Ścisłe więc zachowała rozkazy Pani.

w każdej prawie godzinie powtarzała sobie ję słowa, aby się do nich stósować.— Jednego dnia Justyna siedziała z robotą przy kolébce spiącego Dziecięcia, okryła go zasłoną z cienkiej gazy, chcąc go od much ochronić; obsypała gazę różami, żeby miało przyjemny widok, gdy się obudzi, a w tym usłyszała muzykę przed zamkiem.— Wszysey domowi zbiegli się na ten odgłos; korzystając z niebytności Państwa, wprowadzili muzykantów do sali, chcąc wesoło wieczór przepędzić. Justyna lubiła bardzo tańcować, wierna jednak rozkazom Pani, nieśmiała na krok odstąpić spiącego Dziecięcia. Na nieszczęście wpada Tomasz ogrodnik, cały zadyszany: „Justysiu, woła, moja

Justysiu! pójdźno prędko do nas, nie-uwierzysz, jak się wybornie bawimy; nigdy nie słyszałem tak pięknej muzyki. Jeden trzyma cymbały, tłucze w nie z całej siły, drugi ślicznie na piszczałce przygrywa, trzeci dmie w róg, le-dwie nas niezagłuszy: jedném słowem taki huk, taki hałas, że nic zabawniejszego.”— Justyna odpowiedziała z westchnieniem: „Ja niémogę odstąpić dziecka, ani na chwilę.”— „Niebądź sama dzieckiem, rzekł Tomasz, cóż to? chcesz być coś lepszego od nas? Dziecię śpi; Ciebie niepotrzebuje; pójdź, niedaj się długo prosić, za kwadrans powrócisz; choć raz ze mną przetań-cuj.” Justyna niemiała serca odmówić, poszła ze drżeniem: nadto była nie-

spokojna, żeby mogła dzielić powszechną wesołość: chciała wrócić, lecz jęj niepuścili.— Nakomiec w godzinę gwałtem się wyrwała; biegnie do kolébki drogiego Dziecięcica, powierzonego jęj opiece, wpada do pokoju, zadyyszona: patrzy!!!..... Kolébka próżna! strach ją przejął.... prawie osłupiała.... przyszło jęj na myśl, że go kto schował, aby ją nastraszyć, już i ta myśl ją strwożyła, że się Pani o tym żarcie dowie, cóż więc się z nią działo, gdy, obiegłszy cały pałac, nieznalazła Dziecięcica? Wpada, ledwie żywa, do sali, gdzie jeszcze tańcowano, utyskując na żart tak niewczesny; zaklinając, żeby jęj Dziecię oddali, jezli ją chcą żywą widzieć; nikt niemógł zrozumieć,

czego chce, lecz, gdy się wyraźniej wysłowiła, strach przeraził wszystkich; tańce ustały, Muzykanci zemknęli, nieczekając zapłaty, wszyscy się rozbiegli, szukając tak drogiego Dziecięcica. Wkrótce postrzeżono, że brakuje wielu drogich sprzętów; domysłili się, że złodzieje wkradłszy się do zamku, Dziecię porwali. Płacz i rozpacz zastąpiły wesołość. „O Boże dobry! zawołała szafarka, co się stanie z naszą biedną Panią, jak się dowie o swoim nieszczęściu? umrze z żalu!” Justyna topić się chciała z rozpacz, gwałtem ją trzymać musiano, wśród śmiertelnej żalości, z rozpaczą powtarzała: „O mój Boże! któżby przewidział: że jedno niepostuszeństwo tak okropne skutki pociągnie za sobą.”

ROZDZIAŁ III.
Boleść dobrej Matki.

Wszyscy służący niezmiernie przerażeni, płakali, szlochali w pokoju Dziecięcia. Justyna, prawie odszedłszy od siebie, ponure i obłąkane oczy na wszystkie obracała strony. Rwała sobie włosy, tarzała się po ziemi, usłanej jeszcze temi różami, któremi ozdobiła kolébkę Dziecięcia. W tym otwierają się drzwi, wchodzi..... któż?..... Hrabina. Hrabia niebył tak niebezpiecznie ranny, jak mniemano: skoro

się o tém przekonała Adelaida, za naganiem męża, i własnego serca skłonnością, przyspieszyła swój powrot.— Stanąwszy, wyskoczyła z powozu, śpiesznie wbiegła do pokoju, gdzie się spodziewała uściskać, co miała najdroższego w życiu. Najokropniejszy potwór nieprzestraszyłby tyle wszystkich, jak widok Hrabiny, w téj chwili: „Boże dobry, zawołała Justyna, zmiłuj się nad nią i nademną.” Hrabina, widząc wszystkie twarze wybladłe, Justynę w rozpacz, kolébkę próżną, niemogąc się niczego dopytać, przerażona zostaje najokropniejszym przecuciem, truchleje o życie Dziecięcia, siły ją opuszczają: pada zemdlona.

Skoro przyszła do siebie, musiano ją uwiadomić po części, reszty się domyśliła sama: zdawało się téj nieszczęsnej Matce, że świat cały zginął. „O wielki Boże! wołała, boleścią przejęta, na jakież mię udręczenie wskazałeś. Ach! Synu mój! najdroższe dziecię, a ty, Ojcie nieszczęsny! ta wiadomość boleśniejszy raz przyniesie sercu twemu, niż żelazo nieprzyjaciela. Gdzież jesteś, ukochany Henryśiu? w jakież dostałeś się ręce? może w ręce łotrów, od których, prócz zbrodni, nienauczysz się niczego. Wielki Boże! cóż to za myśl okropna! wołałabym już grób twój łzami obléwać. Byłbyś dla mnie pełnym blasku Aniołkiem, u stóp Przedwiecznego, miała-

bym nadzieję widzenia Cię kiedyś! A tak, ta jedyna pociecha jest mi odjęta! co z Ciebie będzie? do czego Cię przywiodą obrzydłe złoczyńców przykłady!”

I padłszy na kolana, oczy i ręce mając wzniesone ku niebu, zawołała: „O Boże! jedyna pociecho nieszczęśliwych, źli ludzie porwali mi Dziecię, ale z pod opieki twojej usunąć go niepotrafią.— Niewiem gdzie, do jakiej jaskini go zaniecono, ale to wiem, że wszędzie Ojcowskie oko Twoje czuwać nad niem będzie. Ja dla niego nic uczynić niezdolam, lecz Ty go zachować potrafisz, kruczęta niewzywają napróżno opieki Twojej. Usłyszysz więc głos mego Dziecięcia, które zapewne płacze i swéj Matki woła.—

Daj mnie i Mężowi potrzebną stałość, do zniesienia tak srogiego ciosu. Straciłszy Dziecię przez niedbalstwo i złość ludzką: lecz Tyś na nas dopuścił to nieszczęście, taka była wola Twoja.

Przyjmij, o mój Boże, ofiarę, którą Ci czynię sercem podległym, choć znękanym boleścią, bom jest pewna, że ten cios, gdy go cierpliwie zniosę, dopomoże mi do prawdziwego szczęścia!"

Tak się pocieszała pobożna Hrabina. Ale Justyna żadnej nieprzyjmowała pociechy; błagała na klęczkach przebaczenia Hrabiny, własnym życiem byłaby rada okupić powrót Dziecięcia, straconego z jej winy; zaklinała Hrabinę, żeby jej śmierć zadała, na którą sprawiedliwie zasłużyła. Lecz ser-

ce prawdziwej Chrześcijanki wszystko przebaczyć potrafi. „Uspokój się, rzekła Hrabina, twój żal i widok cierpienia mego, będą jedyną karą dla Ciebie. Już niemasz dla nas szczęścia na tej ziemi: tak przeminęło, jak te róże, rozsypane przed nami.” Gdy się Hrabina cokolwiek uspokoiła, dowiedziała się, że dopiero kilka godzin upłynęło od chwili, jak Dziecię zginęło: porozsyłała ludzi swoich na wszystkie strony: lecz wszyscy powrócili, jeden po drugim, nieznalazszy i śladu Dziecięcia. Justyna ledwie oczu nie wypłakała, w krótkce tak wybladła, znędziała, iż litość we wszystkich budziła: nakoniec jednego dnia znikła, i nikt się dowiedzieć niemógł, co się z nią stało.

ROZDZIAŁ IV.

Mieszkanie Łotrów.

Stara, brzydka Cyganka była sprawczyną tego nieszczęścia. Pod pozorem wróżenia oszukiwała, i okradała nieoświeconych i łatwowiernych. W tym zamiarze była kilka razy w zamku, przepatrzyła go, i czekała na sposobną porę. — Zmówiwszy się z Muzykantami, gdy oni wszystkich zwabili do sali, weszła furtką od ogrodu, którą Tomasz zapomniał zamknąć, stamtąd wpadła krytými schodkami do

pokoju Dzieciny, co mogła znaleźć, ukradła, a porwawszy Dziecię śpiące, uciekła z nióm do bliskiego boru. — Opatrzywszy się dostatecznie w żywność, kryła się we dnie w gęstwinie lub zbożu, w nocy zaś uchodziła manowcami. Tym sposobem dostała się do swego siedliska w górach. — Tam, w rozwalinach kopalni opuszczonej, była pod ziemią okropna jaskinia, trawa i ciernie tak zasłaniały jej wejście, że niepodobna ją było znaleźć. — Cyganka, świadoma drogi, przedrapawszy się po skałach i krzakach, weszła drzwiami żelaznemi, od których klucz miała przy sobie, i ulicą ciemną i długą dostała się do jaskini.

Tam się ukrywała zgraja rozbójni-

ków, którzy kraj niszczyli, tam składali swoje łupy, drogie sprzęty, złoto, srebro, drogie kamienie, tam ich nie dosięgała sprawiedliwość. Postać ich szkaradna, mina groźna, brody zarosłe, okropny widok czyniły. Wszedłszy Cyganka do jaskini, zastała ich grających w karty, pili wino i fajki palili: skoro im opowiedziała, co uczyniła, ucieszyli się niezmiernie, że mają w swój mocy syna bogatego Hrabiego Ejchenfels. Oddawna pragnęli mieć dziecko zacnego urodzenia.— „Dobrześ się sprawiła, Matko, rzekł do niej naczelnik, teraz możemy być spokojni, mamy zakład naszego bezpieczeństwa, gdyby przypadkiem z nas którego złapano. Przyłóż wszelkiego

starania, abys zdrowo wychowała to Dziecię.

W tym okropnym pobycie rozwiązał się język niemowlęcia; i zaczęła się wyobraźnia jego rozwijać. Wyszły mu z pamięci pierwsze chwile życia; o wszystkiém zapomniał, nawet o świetle dzienném. Jasne promienie słońca nigdy nieczajrzały do téj okropnej ciemnicy. Lampa, zawieszona u sklepienia, smutném i bladém światłem oświecała ponure ściany. Oko nie przyjemnego dostrzedz niemogło: przeraźliwe głosy łotrów, wrzask, kłatwy, szczególniej, gdy się popili, uderzały uszy Dziecięcia. Cóż to za szkoła i społeczeństwo dla niewinnej istoty? Przyzwyczajenie oswoiło cokol-

wiek małego Henrysia z okropną zbójców postacią; niemógł się jednak zbliżyć do żadnego z nich, bez niejakiego wstępu; lubo nieznał wolności, czuł przecież ciężar niewoli. Zbójcy byli opatrzeni we wszystkie potrzeby życia; niebrakowało im chleba, mięsa, jarzyn, szczególnież zamożni byli w wyborne wino, więcej go prawie mieli, jak wody, bo tę beczkami przywozić musieli z dalekiego źródła, bardzo jej też oszczędzali. Łóżka ich były plecianki z rogóży, okryte pysznemi Kobiércami. Stara Cyganka wielkie miała staranie o Dziecku, dawała mu jeść obficie, ale nieuczyła go ani czytać ani pisać, a tém mniej niewpajała w niego zasad moralności. W pośród

tak występnych ludzi, biędny Henryś nieusłyszał imienia Boga, nieznał Przyrodzenia, ani Sprawcy wszystkiego, ani też świętych obowiązków stworzenia dla Stworzyciela.

ROZDZIAŁ V.

Henryś czuje, że ma serce.

Nieszczęsny syn Hrabiego Ejchenfels zwiérczące prawie życie prowadził, jadł, pił i spał, a rozum i serce w zupełnej były nieczynności. Do kogoż miał się przywiązać? nikt go niekochał, Cyganka dostarczała mu potrzeb życia, lecz z zupełną obojętnością; często nawet fukała na niego, kiedy w złość wpadła. Ale w liczbie zbójców był jeden młodzieniec, dobrego urodzenia, którego namiętność do kart przywio-

dła do tak ohydneho życia. On czuł najmocniej zgryzotę sumienia, za każdą zbrodnią, którą popełnił; oddawna chciał porzucić to łożysko zbójców, lecz go drudzy z pilnością strzeżli, mając go w posądzeniu.

Ten młodzieniec, nazwiskiem Frank, przywiązał się do Dziecięcia; ile razy wrócił z przejażdżek zwykłych, zawsze mu jakieś cacko przywiózł; to figurki drewniane lub malowane, to owczarnię z owieczkami, to pieska, to pastęrza, to źwiérciadefko, to pisaćkę, i tym podobne rzeczy; nadawał mu kwiatków malowanych, nauczył go wystrzygać podobne nożyczkami. Nowe uczucia zajęły serce Henrysia, przyjaźń i wdzięczność, najmiliej mu było rozma-

wiać z Frankiem, lub myśleć o nieprzytomnym. Ten mu opowiadał różne rzeczy zabawne i zajmujące umysł, lecz nieśmiało mu wspomnieć o Bogu, zakazali mu tego łotry, bo radzi byli przekonać siebie i wszystkich, że go niemasz.

Ze wszystkich cacek, jakiemi Henryś się bawił, naybardziej polubił portret swojej Matki, brylantami wysadzony. Cyganka zabrała go w zamku, i dawała mu czasem do zabawy. Spostrzegł go raz Frank w ręku dzieciny, przypomniał sobie własną Matkę, łzy mu się z oczu puściły; otarł je nieznacznie, i rzekł sam w sobie: „Biędna dziecino, „jakież to okrucieństwo? wyrwać cię „z łona téj, która ci życie dała i prze-

„nieść w miejsce tak obrzydłe! nie-
 „szczęsna Matka wiele łez dotąd wylać
 „musiała nad tobą. O gdybym mógł
 „kiedy wrócić jój to dziecię, i sam po-
 „rzucić tak ohydne rzemiosło? O jak-
 „że okropny ten pierwszy krok, któ-
 „ry do występku prowadzi!...” Tak
 nędzny Frank wyrażał boleść swoją, i
 nieustanne wyrzuty, które trwały wszy-
 stkie chwile jego życia.

ROZDZIAŁ VI.

Ucieczka.

Kilka lat upłynęło, niezmienił się los Henrysia, już był znacznie podrośł.— Wzięła go raz ciekawość, gdzie ci ludzie idą, kiedy wychodzą z jaskini, napróżno kilka razy pytał się poczciwego Franka, żadnej nieodebrał odpowiedzi. Nakoniec odważył się prosić zbójców, żeby go wzięli z sobą, odłożyli to na drugi raz, w kilka dni potem powtórzył swoją prośbę, lecz tą razą tak mu surowo odmówili, że nieśmiał

więcej i słowa powiedzieć; ale chęć jego tym się więcej wzmagała. Pewnego dnia, cała zgraja wyszła szukać zdobyczy, Henryś sam został ze starą Cyganką, smutne społeczeństwo dla dziecięcia! zwykle posępna i ponura, po całych dniach siedziała za umbrellką, dla bólu oczu; albo pieniądze rachowała, lub też starą naprawiała bieliznę, i niemówiąc słowa, najczęściej zasnęła, i tak chrapała, że się aż po jaskini rozlegało. Tak się i tego dnia zdarzyło; Henryś, widząc ją twarzym uspioną, nabrał odwagi, wzięwszy świecę, wszedł do ciemnej ulicy, którą zawsze zbójcy wychodzili, doszedł do drzwi żelaznych, na nieszczęście na klucz zamknięte były, już z wielkim

smutkiem się wracał, kiedy ujrzał ścieżki poboczne, prowadzące do pieczar podziemnych, udał się pierwszą, którą spostrzegł, błąkał się długo po różnych zakrętach, w tém świeca mu zgasła, i został w zupełnej ciemności, już go strach niezmierny przejmował, gdy zabłysło w oddaleniu światło, jakby od pochodni; niecierpliw, przyspiesza kroku, biegnie, światło się powiększa, widzi nareście wielką bryłę ognistą, wiszącą. Tém więcęcy się śpieszy, i staje w rozpadlinie skały. Promienie zorzy ją oświecały, i widok wychodził na pole, wymyka się prędko z za skały, i już odzyskał wolność.

Zaden wyraz niezdola oddać uniesienia jego, kiedy z ciemnej jaskini sta-

nał pierwszy raz pod błękitem Nieba, w rokosznej okolicy, wśród gór, pokrytych drzewami. Był to śliczny poranek lata: słońce wschodzące z pod obłoków jasno purpurowych, oświecało wierzchołki gór i lasów, ziemia pokryta była murawą i wonnymi kwiatami; wesole pienia ptasząt pozdrowiały wschodzącą jutrzenkę, i zdawały się obchodzić uroczyste ocknienie przyrodzenia. Niżej w dolinie rozciągało się przezroczyste i obszerne jezioro, a jak w ogromnym zwierciadle, jasne obłoki i zielone góry przyjemnie się w niem powtarzały. Zdziwiony Henryś stanął w zachwyceniu. — Zdawało mu się, że z twardego snu się ocknął, i że mu się śni jeszcze, uważa, patrzy, ale słów zna-

léże niemoże na wyrażenie podziwienia swego: nakoniec woła, gdzież jestem? cóż to za spaniałość, cóż to za niezmierną przestrzeń! spogląda kolejną na wszystko, co go otacza, już zwraca oczy na skały, uwieńczone jodłami, już na spokojne jezioro, już kwiaty różnobarwnę przejmują go swoją pięknnością.

W tej chwili, w pośród jasnych obłoków, pokazuje się słońce z za pagórka; Henryś już niemoże oczu odwrócić.— Obłoki zdają mu się ogniem gorejące, nareście krąg światły lekką mgłą, jakby przezroczystą gazą okryty, wznoś się nad pagórek; przeraża go blaskiem swoim, musi odwrócić oczy, stawa zdumiony, usta jego otwarte, rączyny wyciągnięte, rozum w osłupieniu.

Po kró-

Po krótkiej chwili, zaczyna postępować z ostrożnością, boi się podeptać kwiaty, rozsiane po murawie, spostrzeżga przy krzaku róży polnej małego baranka, zdaje mu się, że to jeden z tych drewnianych, które miał w swojej owczarni, zbliża się do niego, baranek się budzi, wstrząsa uszy, podnosi się i beczeć zaczyna, Dziecię przestraszone cofa się.— „Cóż to? zawoła, on żyje, rusza się, głos wydaje! moje się ani ruszały, ani beczały.— O cuda! któż mu dał życie?” Sądząc, że i mówić potrafi, pyta się go o wszystko, i gniewa się, bo baranek, zamiast odpowiedzi, beczy ciągle.— Lecz nowy i przyjemniejszy widok zajmuje Henryśia.— Młody, rumiany, przystojny pa-

Mały Henryś.

stérz staje przed nim, właśnie szukał tego baranka, zobaczywszy przy nim nieznanę sobie Dziecią, przypatrywał mu się z daleka. Zmieształ się Henryś na widok pastérza, lecz miłe pozdrowienie zaspokoilo go zupełnie. Jakżeś Ty piękny, rzekł Henryś! ale powiedz mi, pokazując rączynami Niebo i ziemię, powiedz, czy to twoje jest to obszerne i widne sklepienie, i ten kobierzec zielony, taki wielki, rozpostarty pod naszemi nogami? Pozwolisz, żebym został z tobą, i z tym żywym barankiem?" Pastérz go niezrozumiał i myślał najprzód, że ma rozum obłąkany? „Skądżeś Ty tutaj przyszedł.” zapytał się go, a gdy ten mu odpowiedział, że wyszedł z lochów nie-

zmiernych, gdzie przebywał ze starą babą i z ludźmi, którzy wielkie brody mają, przeląkł się niezmiernie, dziwne mu się myśli snuły po głowie, wzruszony jednak litością, wziął Dziecią na ręce, i uciekał, co miał siły, jak gdyby zbójcy tuż za nim byli.



ROZDZIAŁ VII.

Pustelnik.

Pustelnik poważny, Starzec sędziwy, mający lat przeszło ośmdziesiąt, mieszkał między temi górami. Nazywano go Ojcem Bogumiłem, dla cnót i pobożności; modlitwą, na pracy i dobrych uczynkach dzień mu schodziły. Do niego młody pastérz umyślił Dziecię zaprowadzić; domek Pustelnika na schyłku góry, nad jeziorem, niedaleko był stamtąd. Mała chatka, trzecią pokryta, była pomieszkaniem jego,

bluszcz pięł się po ścianach, młoda winna latoróśl ocieniała okno, skromne to mieszkanie było wśród ogrodu, pełnego krzewów i kwiatów; przy nim z jednej strony zasadzona winnica, z drugiej pola, okryte zbożem.— Najmniejszy kącik między skałami był zajęty, to drzewem owocowém, to porzyczkami, pełnemi gron, to jarzynami, które były ulubioną żywnością Pustelnika.— Na jednej z najwyższych skał wznosiła się kaplica z wieżyczkami, do której prowadziły schody, w skale wykute.

Pastérz wszedł fórtką do ogrodu: Bogumił siedział zamyślony na ławce, pod cieniem jabłoni; na kamiennym stole leżała książka otwarta, w której

czasami czytał, więcej jednak rozmyślał nad cudami przyrodzenia. Broda jego, i reszta pozostałych włosów śnieżnej były białosci, policzki rumiane, jak u młodzieńca.

Podniósł się Starzec, skoro ich spostrzegł, uprzejmie pozdrowił wieśniaka, słuchał z tkliwością, co mu opowiadał, a wzięwszy Dziecię na kolana, zapytał je, jak się zowie; domyślił się wkrótce, że to Dziecię było jakiej znacznej rodzinie przez złodziejów ukradzione.— „Zostaw mi go, rzekł do pastérza, nikomu nie o nim niemów, może ja znajdę jego Rodziców: nigdzieby nie miało pewniejszego schronienia, zdaleka złodzieje omijają moją chatkę, wiedzą, że w niej nieznajdą

ani złota, ani srebra, unikają także strofowania mego, boją się, żeby nie wzbudziło wyrzutów w zakamieniałych sercach. Ty zaś, mój Synu, rzekł do małego Henryśia, znajdziesz we mnie drugiego Ojca, chcę zastąpić jego miejsce, dopóki Ci Niebo niewróci własnego, od dzisiaj dawaj mi to słodkie imię, miło mi będzie dopełniać tak świętych obowiązków.” Dziecię znaczenia słów niezrozumiało, ale słodycz i czułość, z jaką wyrzeczone były, wypogodzone czoło Pustelnika, wejrzenie pełne czułości, przemówiły do serca jego, zarzucił rączyny na szyję Starca, a tklive te pieszcoty powiększyły jego rozrzewnienie.

Dobry Pustelnik uczęstował gości

swoich, pastérz zjadłszy śniadanie wziął laskę i chciał odejść, obaczywszy to mały Henryś, chwycił go za suknię, trzymał z całej siły, płakał i puścić niechciał; ale obietnicą powrotu i podarunek baranka, trochę go zaspokoiły: ucichł, i mocno się ucieszył z daru tak szacownego dla siebie.

ROZDZIAŁ VIII.

Jakim sposobem Henryś przychodzi do poznania Boga.— Słońce i kwiaty.

Bogumił zostawszy sam z Dziecięciem, posadził je na ławce przy sobie, i zaczął z niém rozmawiać. „Mój Henryśiu, rzekł do niego, czy też nic a nic niewiesz o swoim Ojcu lub Matce?” „O! wiem, mam śliczną Mamę tu w kieszeni!” i to mówiąc wyciągnął portrecik, w puzderku safijanowém, który był wziął z sobą. Sam go nigdy nie widział przy jasności słońca; zdziwił

się nad jego pięknnością, blask od brilantów raził go w oczy.— „Jakże też to tu widno u Ciebie, mówił dalej do Starca, lecz powiedz mi, kto to zapalił tę piękną lampę złotą, która całe to miejsce oświeca? i na którą patrzyć niemożę, tak jest jasną: w naszej jaskini takie było blade i smutne światło: ale dla czego się ona co raz wyżej posuwa? Widziałem ją wychodzącą z po za drzew, teraz już jest nad naszymi głowami, niemógłbym jej dostać, choćby z najwyższego drzewa, z taką łatwością się posuwa, a niewiedzę, kto ją prowadzi, kto jej ruch daje, kto dostanie tak wysoko, żeby w nią oliwy doléwać?”— „To wielkie światło, Synu mój, nazywa się

słońce, tysiąc razy starsze od Ciebie, ma własny bieg, bez ludzkiej pomocy, własne światło, niepotrzebuje oliwy.” „A to rzecz niepojęta! Ale jakież Ty masz śliczne kwiatki” rzekł dalej, przebiegając od jednej grządki do drugiej, co to za piękne kolory, i czerwone, i żółte, i niebieskie, jakie listeczki delikatne, a z czego one są zrobione? papier niebyłby tak cienki, jedwab nawet nie jest tak delikatny? Jeśli wszystkie są twojej roboty, ileż Ci to czasu zabrało, jakich to nożyczek, i dobrych oczu potrzeba było do tego, i ja robiłem kwiatki w jaskini, ale niebyły tak piękne.”— „Moje Dziecię, żaden człowiek niepotrafiłby zrobić podobnych, wszystkie wychodzą z ziemi, jak je

widzisz.” — „To niepodobna, rzekł Henryś, niemogę temu wierzyć.” — Bogumił wziąwszy makówkę, wytrząsnął nasienie na rękę, mówiąc: „Widzisz te drobne ziarka, te w ziemię włożone, wydają tak piękne purpurowe kwiatki; toż i inne każde ma w samém sobie nasienie.” — Dziecko zdumione oczu nie spuściło ze Starca. — „Czy to być może? jak to? z tak nikczemnego ziarka mogą się urodzić tak wielkie kwiaty; a to więcej sztuki w tém ziareczku, niż w najlepszym zegarku? Powieźże mi, kto te ziarka zrobił, to jeszcze trudniejsze musi być od kwiatków?” To mówiąc przebiegł powtórnie od jednej grządki do drugiej, to się unosił nad różą na wpół rozwitą,

to go zachwycił różnobarwny tulipan, i nasycić się niemógł tym widokiem.

Tym czasem słońce co raz bardziej dopiekało: „Jakaż to gorąca pochodnia!” rzekł Henryś, choć tak wysoko, przecież niezmiernie grzeje.” — Zaprowadził go Starzec pod jabłoń, której rozłożyste gałęzie ocieniały stół i ławkę. Bardzo mu się tam spodobało. „To drzewo, widzę, powiedział, taką czyni usługę, jaką mały ekranik czynił starej szafarce; zasłania nas od blasku i gorąca. Ale jakie téż wielkie, wiele to tysięcy liści na niem, podobno ten pień jest drewniany, O! już niemyślę, żebyś Ty go zrobił, anibyś potrafił.”

ROZDZIAŁ IX.

Zioła i drzewa.

Starzec wszedł do chaty, przygotować objad dla Dziecięcia, przyniósł mu mleka, chleba, masła, miodu, i pięknych jabłek w koszyku: dla siebie zaś korzonków, melona i kieliszek wina. Wszystko to przedziwnie smakowało Henrysiowi, daleko lepiej, niż solone mięso w jaskini. — „Skąd masz tak wyborne rzeczy? zapytał się Henryś, musisz często wychodzić na rabunek?” — Głębokie wes-

technienie było odpowiedzią Pustelnika. Podczas objadu począł z nim rozmawiać o płodach przyrodzenia; wszystkie te jabłka, co widzisz, zebrałem z téj jabłoni, dostarcza mi czasem po kilka koszów? „Czy Ty nieżartujesz?” Bogumił, wzięwszy go na ręce, nachylił gałąź, i pokazał mu małe jabłuszka, zielone jeszcze. Widzisz je na téj gałęzi, nieznacznie rosną, dojrzewają, i stają się nakoniec takiemi, jakie jész teraz ze smakiem. „Podobne ziarko temu, które tu widzisz, na moim nożu, wydało to wielkie drzewo, z jednego ziarka możnaby rozmnożyć jabłek bez liczby; z ziarnek mamy także chleb, mówił dalej Starzec, pokazując mu garść pszenicy. Zboże, wszystkie

owoce, kwiatki, mają swoje nasiona, które nieskończenie rozmnażać można." I wytłumaczył mu obszernie wszystko, jak się dzieje z uprawą, sianiem i wzrostem roślin.

Po objedzie wyszedł z nim na pole, zbożem okryte. Ucieszył się Henryś, zobaczywszy kłosa, ziarn pełne.

„Wszystkie rośliny, co widzisz, mówił dalej Starzec, jednakim sposobem wyrastają. Trawa, którą depcesz, te niezliczone kłosa, te winnice, ozdoba pagórków, spaniałe dęby, ponure jodły, ten mech nawet na ich korze, były małym ziarkiem; to ziarko puściło kiefek, wzrosło, zakwitło i znowu nasienie wydaje.”

„Wszystko, coś widział na stole,
sma-

smaczny chleb, posilające wino, korzonki, sałata, te ładne koszyki z rożonki, talerze i kubki drewniane, z których jadłeś i piłeś, ławka, na której siedzisz, ma swój początek z niekczemnego ziarka; jam tylko kładł je w ziemię, a teraz mam jabłka, zboże i kwiaty. To miejsce dawniej było puste i zarosłe, za moją staraniem stało się przyjemnym schronieniem, obfitującym we wszystkie potrzeby życia.”

Henryś w co raz większe wpadał zadziwienie, wyobraźnia żywa, dotąd nieczynna, chciwie się zajęła zgłębianiem rzeczy, wcale nowych dla siebie.

ROZDZIAŁ X.

Zródła i dęsz.

Słońce było nad zachodem, już cień okrywał grządki z kwiatami, niektóre z nich, więcej pielęgnowane, powiędły od gorąca. Bogumił, pomimo dęszu, którego się spodziewał, chciał je podlać, wziąwszy Dziecię jedną ręką, podlewaczkę w drugą, poszedł do bliskiego źródła, który obficie ze skały mchem obrosłej wypływał. — Henryś klasnął w rączyny z podziwieniem. „O! któż tam tyle wody nalał? spytał się, lecz

zawsze myślę, że ustanie, a ona w najlepsze płynie z kamienia; powinienbyś zatkać ten wypływ, bo jej nareście zabraknie! Odkąd słońce ziemię oświecać zaczęło, odpowiedział mu Pustelnik, ta woda płynie, i nieustanie, choć jej nikt niedostarcza. — To jezioro, które Ci się zdawało być niezmiernym zwierciadłem, jest także wodą.” Nowe podziwienie dla Dziecięcia. Bogumił, naczérpawszy wody, zaczął podlewać spragnione kwiaty. „Co Ty robisz, zawołał Henryś, wszystko popsujesz, patrzaj, jak się nachyliły ku ziemi!” — Bogumił rzekł z uśmiechem: „rośliny, drzewa, zboże, mając poniekąd życie, równie, jak człowiek, potrzebują pożywienia.” „Lecz któż im zdo-

ła tyle wody dostarczyć? kto się wdrapie na tak wysokie góry, aby je podléwać? — Zaradzono temu, rzekł Starzec: w krótkce obaczysz, dodał, spoglądając na Niebo, jak się to robi.

W samej rzeczy zbierały się chmury nad górami, spadło kilka kropel wody, zaczął potem lać deszcz rzęśisty, nowe podziwienie dla Henrysia! „Otóż to przedziwne, ileż Ci to pracy oszczędził! ale któż zsyła tę rzecz osobliwszą, co Ty nazywasz chmurą, która spuszcza milionowe krople, jak ona się może tak utrzymać, że cała razem nieupadnie?” „Dowiiesz się tego z czasem!” rzekł Starzec. — Henryś oczu nieodwrócił od chmury, dopóki się nierozeszła, i niewróciła pierwsza pogoda.

Dzień zszedł nieznacznie, Henryś tak przyjemnie zajęty, w ciągłym zachwyceniu, ani spostrzegł, kiedy słońce do zachodu się zbliżyło. — Tysiąc rzeczy, obojętnych ludziom, którzy do nich przywykli, jego unosiły. Lekki motyl, z kwiatka na kwiatek przelatujący, powolny ślimak, dzwigający dom swój, konik polny, kołyszący się na gibkiej trawie, i nucący pienia nocne, skacząc z trawki na trawkę, krople deszczu, błyszczące, jak perły, na ziołach, nakoniec kozy Pustelnika, wracające wieczorem do stajni, wszystko ściągało uwagę Henrysia, i przywodziło tysięczne pytania i odpowiedzi.

Nakoniec słońce zaszło z drugiej strony jeziora. „Ach! jakież to nieszczę-

ście! zawołał biedny Henryś przestraszony: otóż nasza piękna pochodnia zanurzyła się w jeziorze i zgasła! Skończyły się wszystkie rokosze.— Choćbyśmy dziesięć lamp zapalili, niebędzie nam tak widno.” „Niebój się, rzekł Starzec, teraz pójdziemy spać, zamknijemy oczy, niebędziemy zatem potrzebować światła. Jutro, obudzwszy się, zobaczymy słońce, wschodzące z przeciwnej strony, wyjdzie z pomiędzy tych gór, bo słońce biegiem swoim, ogrzewa i oświeca ziemię w około.”

ROZDZIAŁ XI.

Najrzetelniejsza odpowiedź na najważniejsze zapytanie.

Niechciał jednak Henryś iść spać, ale, siadłszy obok Pustelnika, ponowił zapytania, na które rostopny Starzec niechciał od razu odpowiedzieć, w celu zaostrzenia ciekawości Dzieciątka. „Niepowieszże mi nigdy, rzekł Henryś, kto zrobił to niezmierne sklepienie nad naszymi głowami, kto zamknął w skale tyle wody, że nieustannie a obficie płynie, kto ukrył, w małym ziarku, drze-

wa, rośliny i kwiaty, które wschodzą, gdzie tylko je posiejemy? Nakoniec, kto tak dobrze wszystko rozporządził, i takimi darami opatrzył ludzi?" „To więc wnosisz, że musi być ktoś, co to wszystko zrobił i rozrządził?" spytał się Starzec.— „Nie pewniejszego, odpowiedziało Dziecię, rozumubym nie miał, gdybym o tém wątpił. Widziałem ja, kiedy owi ludzie z brodami chcieli sobie obszerniejsze mieszkanie zrobić w jaskini, ile ich to pracy kosztowało! A raz, gdy im groziła zawaleniem, z jaką trudnością przyszło podpory jej dawać.— Tu zaś tak obszernie sklepienie, a niewidzę nigdzie podpory.— Nasza lampa w jaskini niezapalała się sama, byłaby zgasła, gdyby

do niej oliwy niedolowano, i nas w ciemności zostawiła.— Wozić musieli wodę do kadzi, bo inaczej byliby umarli z pragnienia.— Dobrze mię raz stara Cyganka wybiła, za to, żem źle kruczek od kadzi zakręcił.— Wiem, z jaką trudnością nauczyłem się kwiatków wystrzygać, jakich to oczu i cierpliwości potrzeba do tego, a przecież ani podobne były do tych, które tu widzę. Nie; niepodobna, żeby to wszystko było dziełem ludzi; powiedzże mi, koehany Ojczy, kto to zrobił?"

Starzec widząc, jak żywe wrażenie czyni na Dziecięciu ogrom, piękność, i porządek przyrodzenia, niezliczone dary, których udziela obficie, w każdej porze i na każdym miejscu, widząc

go palającym chęcią najgorętszą poznania dobroczynnego Sprawcy tych wszystkich rzeczy, uznał tę porę za sposobną do oznajmienia mu Boga; Wszehmocności, Mądrości i Dobroci Jego.— Rzekł więc, ikliwym głosem, ze łzami w oczach, i z najgłębszym uszanowaniem: „Tak jest, moje Dziecię, nieomyliło się serce twoje. Jest istota Najwyższa, Wszehmocna, nie-skończenie dobra. Ta stworzyła ten spaniały okrąg świata, ta ukształciła nas, człowiek jest jej dziełem.— Ta Istota nazywa się *Bóg, Ojciec nasz*, który jest w Niebiesiech, On na początku stworzył Niebo i ziemię!”

Widzieliśmy, jakie wrażenie uczynił na Henryśiu pierwszy widok słoń-

ca, rozrzucającego złociste promienie na wszystkie okolice; podobne a może i większe było teraz zadziwienie jego. Obraz Boga ukształcił się w duszy jego, na wzór słońca, które światłem i ciepłem swoim wszystko ożywia, ozdobę i przyjemność światu nadaje. Do tak szczytnego wyobrażenia, przyłączyły się niezliczone dobrodziejstwa niewystawionej Dobroci. „Tak, moje Dziecię, mówił dalej Bogumił, widząc go rozczulonym, Bóg jest sprawcą wszystkiego, co widzisz. On stworzył to spaniałe błękitne sklepienie.— On uczynił słońce, żeby rządziło dniem, On kieruje dobroczynnym jego biegiem: bo słońce nietylko nam odkrywa cuda przyrodzenia, używa świa-

tła do pracy, ale gorącością swych promieni ogrzewa ziemię, ożywia rośliny, dojrzewa owoce, gotując je prawie, tak, jak ogień, nasze pokarmy gotuje. Bóg to obfite z ziemi wyprowadza źródła. On obłoki w żyzny deszcz zamienia, dla pożywienia i wzrostu roślin. On ziemię okrył murawą, drzewa wonnymi i różnobarwnymi kwiatami; a w każdym drzewie i ziółku zamknął nasienie, według rodzaju jego: On użyźnia nasze zagony, aby dostarczały chleba pożywczego; On daje winnicom wzrost na górach, owocom na drzewach, które, nam w lecie przyjemnego cienia użyczają, a w zimie grzeją. On ptaszęta przyjemnym głosem obdarza, aby nas śpie-

waniem rozweselały, on gęstą i miękką wełną okrył baranki, z której twoje i moje suknie zrobione, On nam dostarcza wszystkiego, co potrzeba do wygody i odpoczynku członkom zmordowanym. On wszystko upiękniał, abyśmy uwielbiali dzieła Rąk Jego, abyśmy Go kochali, jak dobrego Ojca, a tym sposobem zasłużyli, aby nas kiedyś przyjął na łono Swoje. Tam dopiero używać będziemy niewypowiedzianych rozkoszy, które końca mieć niebędą. Lubo jest niewidzialny oczom naszym, widzi nas wszędzie, słyszy, co mówimy, przenika myśli; wszędzie jest przytomny, w każdej chwili możemy uczucia nasze zléwać na łono Jego. On stanowi i rządzi losem

naszym; On czuwał nad Tobą w okropnej jaskini, gdzieś pierwszą latą życia twego strawił, On prowadząc Cię, jakby za rękę, wyrwał z niej. On jest Dobroczyńcą naszym, najlepszym z Ojców, najwierniejszym z przyjaciół.”...

Henryś słuchał roztropnego Starca z uwagą i głębokim rozczuleniem.—

Noc tym czasem nadeszła, księżyc zaczął wschodzić, wkrótce okazał się w całej świetności, otoczony iskrzącymi się gwiazdami, zdawał się zawieszony nad jeziorem, w którym, jak w zwierciadle, drugie Niebo, drugi księżyc i niezliczone gwiazdy, powtarzając się, ginęły w niezmierną przestrzeń powietrza. Noc była cicha, listek się nieruszył, milczenie poważne panowa-

ło wszędzie. Dusza Henryśia, uniesiona w najwyższym zapale, do Sprawcy tylu cudów, czuła w sobie obecność tej przedwiecznej Istoty, przed którą wszystko powinno się korzyć.

Szanowny Starzec, złożył rękę, mając oczy wzniesione ku Niebu, zaczął mówić modlitwę wieczorną, głośno i wyraźnie: Henryś powtarzał za nim każde słowo, obfite łzy rosły policzki jego. Ten Bóg, którego dotąd nieznał, zdawało się, że mu się udziela. Umysł miał zajęty wielkością Jego: serce rozczulone dobrodziejstwami, święte poszanowanie, najżywsza wdzięczność, niezatartymi rysami wypiętnowały się na duszy jego. Z niewypowiedzianą radością Starca, dodał Hen-

ryś sam z siebie te słowa, które z własnego serca wyczerpnął: dziękuję Tobie, o Boże mój! żeś mnie wyrwał z ciemnej jaskini, aby mnie oddać w ręce tak szanownego człowieka, który mnie uczy, jak Ciebie znać i kochać! Bogumił zaprowadziwszy Dziecię do chatki, usłał mu łóżko z miękiego mchu, przykrył kocięrczykiem, i własnym płaszczem przydział.

ROZDZIAŁ XII.

Henryś, odpowiadająca zapytania Bogumiła, opisuje mu społeczeństwo lotrów.

Nazajutrz, po dniu tak uroczystym dla siebie, skoro się Henryś obudził, wzniosłszy rączyny do Boga, oddał mu cześć, i dzięki czynił Stwórcy swemu. Widząc, że już Pustelnik wstał, ubrał się, i czémprędzej pobięł do ogrodu, gdzie go zastał pobożnie rozmyślającego. Rzucił mu się na szyję, ściskając go rączkami. „O jakżem Mały Henryś.

dobrze spał, mój Ojcze! Takim uradowany, takim szczęśliwy! lecz miałbym z Tobą wiele do mówienia, gdybyś mnie tylko chciał słuchać.”— „Mów, moje Dziecię, chętnie Cię zawsze słuchać, i odpowiadać Ci będę.”— „Powiedziałeś mi wczoraj, jak wiele Bóg dla mnie uczynił; naucz mnie dziś, co ja bym też mógł uczynić dla Boga? Mam wdzięczność dla Ciebie, bo mię żywisz, boś mi dał schronienie, będę Ci za to pomagał w podlewaniu kwiatków, w robocie w twojem polu, słowem chętnie wykonam, co mi tylko rozkażesz.— Lecz cóżbym mógł uczynić dla Boga, który mnie stworzył, i tyle mi dobrodziejstw wyświadczył?”— „Luby Henryśiu, odpowiedział Starzec, niepotrze-

buje Bóg niczyjjej pomocy, skinienie Jego największe cuda czyni w przyrodzeniu. Ale, umiłowawszy człowieka, jako najdoskonalsze dzieło swoje, dał mu przykazania, dla tego, aby jego szczęście zapewniły w tém życiu, i podały mu sposobność zasłużenia na przeznaczoną nagrodę. — Piérwsze z nich jest: *czcij i kochaj Boga z całego serca twego; drugie: nieużywaj Imienia Jego, tylko z największym uszanowaniem.*— „O mój Ojcze, trzeba było przykazywać, co powinno być wrodzone sercu człowieka? Ale poczekaj, niech sobie przypomnę..... Prawda, słyshałem nieraz w jaskini, że wzywano Imienia Boskiego, lecz pewno bez uszanowania, bo w gniewie

i po pijanu.— O nieszczęśni! oni przecież równie z nami dobrodziejstw Jego doznają. Ale niechę Ci więcej przerywać, mów, niech się dowiem wszystkiego, co mi Bóg przykazuje?”—
 „Wszystkie prawie przykazania Jego stósują się do tego, żebyśmy się wzajemnie kochali, jako dzieci jednego Ojca, i spólny nasz Ojciec zakazuje nam źle się obchodzić z drugimi, krzywdzić, łżyć, przykrość komukolwiek czynić, nawet źle żyć.— A tak jeden tylko mamy sposób okazania Bogu wdzięczności naszej, dopełniając Jego przykazania; a jeśli dla Niego samego nie uczynić niemożemy, bo On nieczego niepotrzebuje, mamy sposobność wspomagania bliźnich naszych, dla miłości Je-

go, tak jak On nam przykazał.— O! dopełnię tego przykazania z całego serca, zawołał Henryś, od chwili, w której porzuciłem te podziemne lochy, czuję w sobie skłonność do kochania wszystkich ludzi.— Ale tam, to jednego tylko Franka kochałem, i on mię też bardzo kochał.

Bogumił, chcąc się dowiedzieć, jakie wrażenie uczyniły na Henryśiu, złe przykłady, których się napatrzył, spytał się go, co też tam robiono?— Ci brodacze, rzekł Henryś, często bardzo wychodzili z jaskini, czasem dopiero w kilka dni wracali: przynosili rozmaite śliczne rzeczy, a najwięcej sztuczek okrągłych, świecących, żółtych i białych. W ten czas niezmiernie się cie-

szyli, kazali sobie zastawiać stoły, mięsiwem, winem, wódką.— Zasiadłszy rozmawiali o swoich zdarzeniach, wszystko, com z tego mógł zrozumieć, było to: że bardzo dokuczali biędnym podróżnym, aby im zabrać złoto, klejnoty i suknie.— Od jakiegoś czasu kazali mi sobie służyć do stołu, naléwać trunki; niechętnie to czynilem, bom drżał ze strachu, gdym się do nich zbliżał.— Na początku objadu wszyscy zgodnie i wesóło się bawili, śpiewali, śmiali się; lecz, jak tylko zaczęli pić wino i insze trunki, kłócili się, wszyscy razem gadali, krzyczeli, butelkami na siebie ciskali, stół przewracali, jedni się na drugich rzucali, jakby się pozzrzeć chcieli. Wtedy prze-

straszony uciekałem w najskrytszy kąć jaskini, i niepokazywałem się, aż wszystko ucichło. Przechodząc przez salę, gdzie objad jedli, zastałem nieraz wszystkich na ziemi leżących, twardym snem uspiionych, szedłem w tenczas do przyjaciela mego Franka, on jeden niebył pijany, lecz smutny i zamyślonny.— Luby Henryśiu! mówił do mnie, strzeż się tych obrzydłych trunków, widzisz, jakie są skutki pijaństwa, korzystaj z przykładu tych nędznych, w pragnieniu zasilaj się wodą, zbytek w winie prowadzi do zbrodni.— Nieznając tego słowa, spytałem się Franka, co to jest zbrodnia? Szczęśliwy! rzekł do mnie, obyś jęj nigdy nieznał, nieodbiorę Ci tak lubęj niewiadomości.....

To mówiąc łzami się zaléwał. Żal mi go było niezmiernie, widziałem, że miał jakąś wielką zgryzotę i tajemnicę, a powierzyć mi jęj niechce.”

ROZDZIAŁ XIII.

Wychowanie Henryśia;— staje się dobroczynny i pracowity.

Ułożył sobie Bogumił, przynajmniej przez rok nieczynić żadnych kroków do wyszukania Rodziców Henryśia, chciał go wprzód oświecić w ważniejszych przedmiotach, oduczyć nieprzyzwyczajonych wyrazów, wad, których mógł nabyć w tak niegodziwém społeczeństwie; chciał także pokrzepić wątłe siły jego, przywrócić mu czerstwą cerę, do czego suche i czyste powietrze

w górach najpomocniejsze było. Henryś bowiem był bardzo blady, gdy wyszedł z tych ciemnych lochów, a dobry Pustelnik chciał go czerstwym i zdrowym oddać Rodzicom. W krótcie świeże powietrze, ruch mierny, pokarmy zdrowe, z roślin i owoców, przywróciły Henryśowi świeżość i zdrową cerę. Rumiany, jak róża, rosą jutrzemki skropiona, zachwycał oczy patrzących.

Bogumił znalazł w swoim wychowawcu najlepsze skłonności, serce żywą ku sobie przyjętą wdzięcznością; kochał, szanował i wielbił swego Dobroczyńcę, chciwy oświecenia zadziwiająco czynił postępy. W krótcie mógł czytać Pismo Święte, w którym

znalazł nowe powody podziwiania i wdzięczności dla Stwórcy swego.— Ewangelija nauczyła go wszystkich obowiązków; prawdziwa oświata zastąpiła grubą ciemnotę, nowe życie rozpoczął. Później nauczył się kręślić myśli i uczucia swoje na papierze, nic mu się dziwniejszego niezdawało, od tego wynalazku.— „Mój Ojciec, rzekł raz do Starca, jakże są godne podziwiania i ludzkie dzieła, zdaje się, że mają niejaki udział mocy Boskiej”. „Moje Dziecię, człowiek bez wątpienia może dokazać wielkich rzeczy; lecz, co tylko wykonać może, jest zawsze dziełem Boga. Od niego mamy rozum, jenijusz do wynalazków, ręce do wykonania tego, co dowcip

wymyśli. Trzeba więc zawsze wszystko zwracać do Sprawy wszech rzeczy, a pamiętać także należy, że Bóg dostarcza człowiekowi materyjałów, z których on wyrabia najpiękniejsze dzieła. Bóg rozkazał ziemi, aby dostarczała wszystkiego, co potrzeba do udoskonalenia naszego przemysłu; inaczej niebyśmy zrobić niepotrafili, bo jeden tylko Bóg mógł zrobić co z niczego. Wszak wiész, że świat cały jedno go tylko słowo kosztował. Henryś codziennie upiększał jestestwo swoje; nowe wiadomości przyozdabiały rozum jego, oddychał, że tak powiem, powietrzem cnoty. Dusza jego, coraz więcej upodobania w niej nabięrała; z obrzydzeniem spominał przeszłość,

lecz, gdy terażniejszy los do niej stósował, tém więcej w nim znajdował przyjemności. Starzec, zawsze słodki i powolny, napominał go, skoro prze-winił, z ojcowską dobrocią, ale oraz z tak boleśnym uczuciem, że Dziecię uznawało winę z łatwością, i szczerze żałowało za nią.

Praca podwoiła siły jego, pilnie się do niej przykładał, doświadczył bowiem w jaskini, że próżniactwo i nudy, za niém idące, bardzo są przykre; a prócz przyjemności, którą znalazł w zatrudnieniu, miło mu było, że mógł być użytecznym. Dobry Starzec przyzwyczajał go do uczynków dobroczynnych; miał on cokolwiek znajomości sztuki lékarskiej, i część ogródka swe-

go poświęcił roślinom zbawiennym.— Chorzy, zranieni, schodzili się do niego, dostarczał im lekarstw, opatrywał rany, cieszył, zaspokajał z dobrocią; sam odwiedzał tych, którzy przychodzić niémogli. Henryś mu zawsze towarzyszył, często pomagał, i litość wzrastała w sercu jego, już poznał z doświadczenia, jaką jest rozkoszą ulżyć cierpiącej ludzkości.

Ale Dziecią, zdolne już do zastanowienia i uwagi, niémogło pogodzić chorób, nędzy i różnych nieszczęść, które trapią ludzi, z wyobrażeniem nieskończonej dobroci Boga. „Dla czego, rzekł raz do Bogumiśa, istoty stworzone przez Boga, tak dobrego, podlegają tylu przykrościom, kiedy w mocy

Jego było uwolnić ich od tego?” „Moje Dziecią, odpowiedział mu Starzec, Przedwieczny stworzył nas do szczęścia, lecz nie w tém znikomém życiu pozyskać mamy zupełne: tu nam tylko padał sposoby dostąpienia szczęścia wiecznego; nieszczęśliwym i ubogim, przez cierpliwość, poddanie się wyrokowi Opatrzności i pracę; bogatym i szczęśliwym, ciesząc i wspomagając cierpiących braci, dzieląc się z nimi dobrami, których w tym celu użyzył; a jeżeli kto niekorzysta z tych sposobów, ciężki rachunek zdać będzie musiał.”

ROZDZIAŁ XIV.

Nagła odmiana. Nowy sposób czynienia miłosierdzia. Przybycie osoby zajmującej.

Przy rozmaitych zatrudnieniach, i ważnych rozmowach, lato i jesień, szybko upłynęły naszym pustelnikom. Już pozbięrali owoce i jarzyny, które chcieli zachować na zimę; już przysposobili drzewa i gałęzi suchych, na ostrą i nadchodzącą porę. — „Moje Dzieci, mówił Starzec, często Ci mawiałem o Opatrzności i jej Ojcowskiej opie-

opiece nad swoim stworzeniem, lecz pokładając w niej nieograniczoną ufność, nienależy się opuszczać, i czekać w gnuśnym lenistwie, aby dostarczyła naszym potrzebom. — Człowiek winien czynić z siebie, ile może, a czego niepotrafi, Bóg go w tym zastąpi. Pracujmyż z odwagą, zbierajmy, na wzór mrówki, abyśmy się mieli z czego utrzymywać do przyszłej wiosny.” — Henryś jednak żałośnie spoglądał na ziemię, ogołoconą z ozdób swoich; nieraz westchnął nad spadającymi listkami, żałował świetnej jasności słońca, które już niekiedy tylko z pod grubych obłoków blade wyglądało; lecz w krótko nowe go cuda zajęły. Po sześciotygodniowych słotach powstał wiatr ze

Mały Henryś. 6

wschodu, powietrze nagle się oziębiło. Jednego poranku, obudziwszy się, ujrzał ziemię, śniegiem przykrytą; zadziwił go ten widok; białość, rażąca oczy, zastąpiła przyjemną zieloność murawy, drzewa, szronem okryte, zdawały się przybrane w wieńce kryształowe.

Bogumił miał psa, którego nazwał *Andżelo*, wyuczył go był, aby obiegał góry, otaczające jego mieszkanie, pod czas śniegów i lodów, w celu przyniesienia ratunku obłąkanym podróżnym, i w niebezpieczeństwie życia z głodu lub zimna będącym.— Ten miał na szyi przywiązany koszyk, w którym pożywienie było zamknięte; niedość na tém, *Andżelo* prowadził podróżnego do chatki *Pustelnika*, gdzie

doświadczał hojnej gościnności. *Henryś*, świadkiem będąc pomyslnych skutków gorliwej i przemyślniej ludzkości szanownego *Starca*, czuł w sobie codziennie wzrastające uwielbienie dla niego.— Dopomagał mu w usługach gościnności, wybiegał naprzeciw podróżnym, skoro usłyszał psa szekającego, dla oznajmienia ich przybycia, a śliczna twarzyczka jego, ożywiona rozkoszą dobroczynności, miłe im wróżyła przyjęcie.

Już *Styczeń* i *Luty*, najostrejsze miesiące w roku przeszły, nagle roztopy powiększały niebezpieczeństwa dla podróżujących: ogromne bryły lodu i śniegu, z wierzchołka gór spadające, groziły im zewsząd.— Od ośmiu dni

Andżelo napróżno wybiegał w góry, zawsze sam wracał do domu. Dziewiątego dnia, gdy go długo niebyło widać, i godzina, w której zwykle wracał, dawno przeszła, Bogumił się obawiał, czy mu się nie zdarzył jaki przypadek. Henryś, który go bardzo lubił, zaczął być niespokojnym, usłyszeli nareście głos jego, wybiegł chłopczyzna z pośpiechem i radością niewymowną, i ujrzał, że im gościa prowadzi. Był to człowiek wysoki, blade, wyschły, ledwie się włókt za swoim przewodnikiem; Henryś pobiął do niego, podał mu rękę, na której wsparły, doszedł łatwiej, gdzie miał znaleźć ulgę cierpieniom swoim.— Wszystko tam było przygotowane do przyjęcia

gości, których Opatrzność zsyłała, suety ogień palił się na dobroczynnym kominku; woda ciepła stała w kociołku, Bogumił, nalawszy jej w donicę, obmył nogi podróżnego; ten niemając siły mówić, w milczeniu przyjmował te usługi, ale czułem wejrzeniem najżywszą okazywał wdzięczność. Przez ten czas Henryś znosił, co tylko znaleźć mógł najlepszego do posiłku w ubogiej chatce, postawił na stole butelkę starego wina, które chowano na podobne przypadki, i jadło proste lecz obfite.— Bogumił zaprosił gościa do stołu, usiadł naprzeciw niego, Henryś siadłszy na rogu, dzielił się wicherzą swoją z ulubionym Andżelem. Posiliwszy się cokolwiek podróżny, chciał wyrazić

uczucia wdzięczności Dobroczynicy swemu, lecz Pustelnik rzekł, przerywając mu: „ani Cię słuchać będę, dopóki błogi spoczynek niepokrzepi sił twoich. Jutro opowiesz nam, jakim sposobem znalazłeś się w niebezpieczeństwie życia na tych górach.”— Zaprowadziwszy go do łóżka, sam z Henrysiem poszedł także szukać spoczynku, i niebawnie wszyscy smacznie zasnęli.

ROZDZIAŁ XV.

Historyja Fryderyka. Podróż w góry.

Już od dwóch godzin Starzec i Henryś zajmowali się ophoczno zwykłą czynnością, kiedy obudził się podróżny, słodki spoczynek pokrzepił zwatłone siły jego, czuł się prawie dobrze, niezmiernie cieszył się Bogumił, i skoro tylko wstał, skłonił go, aby z nim poszedł do kąpieli podziękować Bogu, że go z tak wielkiego niebezpieczeństwa wybawił. Henryś im towarzyszył; wznie-

sione mając oczy w Niebo, i ręce złożone, łączył z nimi modlitwy swoje.

Po śniadaniu, Starzec prosił podróżnego, aby mu opowiedział przypadki i nazwisko swoje, nie dał się o to długo prosić. Henrysiowi iskrzyły się oczy z ciekawości, siadł u nóg ich. Podróżny, który się nim żywo zajmować zaczął, wziąwszy jego rączynę w swoje ręce, zaczął opowiadać, co następuje.

„Nazywam się Fryderyk Ejchenfels, mieszkałem z małżonką moją w dobrach po Rodzicach odziedziczonych. Urodził nam się syn; w miłości i przyrodzeniu znajdowałem zupełne szczęście; lecz możeż być stała pomyślność na tej ziemi wygnania? Wojna się rozpoczęła, honor, obowiązek, oderwał

mię od wszystkiego, com kochał; już odtąd lat dziewięć upłynęło, a jeszcze zdaje mi się, że czuję bolesną chwilę rozłączenia naszego. W tak długim przeciągu czasu raz tylko widziałem moją Adelaidę; dowiedziawszy się, że niebezpiecznie ranny w pierwszej potyczce został, wszystko porzuciła, i przyjechała do mnie, tkliwe jej starania pomyślny przyniosły skutek, w krótcie wyszedłem z niebezpieczeństwa: nagliłem ją, aby się oddaliła z obozu, i wróciła do jedyne go syna. Usłuchała mnie, i dotąd ciągle trwająca wojna niedopuszczyła nam miéwać częstych wiadomości o sobie; te zaś listy, które mię dawniej doszły, zamiast pociechy, bolesne uczucia w sercu mojem

wzbudziły. Adelaida zdawała się smutkiem znękana, mało co spominała o naszym synie, zawsze utyskiwała na jego słabe zdrowie, w ostatnim zaś liście zdawała się chcieć mnie przygotować do straty jego.

Oddalając się coraz więcej z wojskiem, przestałem odbierać listy od mojej żony; sroga niespokojność mnie dręczy.....

Mogę mieć teraz nadzieję oglądania lubych okolic, gdzie się rodziłem, lecz któż mi zaręczy, że się mężem i Ojcem będę mógł nazywać? Na te słowa łzy mu się z oczu puściły; zatrzymał się chwilę, aby się uspokoić.— Henryś rozczulony całował go w ręce, które do serca przyciskał. Po kró-

tkiém milczeniu, Hrabia mówił dalej w te słowa: „Przybyliśmy do granic Tureckich, gdzie stoczywszy krwawą bitwę, nasze wojsko poszło w rozsypkę, zacząłem zwracać uciekających, gdy nas liczna jazda otoczyła; broniliśmy się walecznie, lecz napróżno, niezdolaliśmy się oprzeć przemagającej sile, rozbroili nas i zabrali w niewolę. Przez cztery lata niewoli mojej pisywałem do żony; lecz ona pewno żadnego listu nieodebrała: jeżeli żyje, niezawodnie nad śmiercią moją płacze. Ale nastąpił przecież pokój, a za nim zamiana jeńców. Skorom odzyskał wolność, przyspieszyłem powrot do lubej Ojczyzny, biegłem płakać na grobie drogich przedmiotów,

których się niespodziwiałem już zastać. Miałem z sobą szczęściem lenników moich, na dzielnych koniach, i dobrze zbrojnych; przebyliśmy więc jak sto dwadzieścia mil drogi, ale wjechawszy w te góry, otoczyła nas zgraja łotrów, broniliśmy się jak lwy do ostatniego, moi towarzysze, śmiertelnie ranni, padali jeden po drugim, i mnie los podobny czekał, chciałem przynajmniej drogo życie sprzedać, gdy koń mój zraniony skoczył, i uniósł mnie z taką szybkością, że w krótko straciłem z oczu nieprzyjaciół, trafiłem na gęstwinę, koń mój zmęczony padł nieżywy na gromadę śniegu, ja zaś wciśnąłem się w gąszcz największy. — W krótko noc nastąpiła, okropną była

dla mnie, zimno i głód kolejną mię dręczyły, strata towarzyszków moich srogą mi zadawała boleść; dzień nadszedł, a z nim to przekonanie mocniejsze, że trzeba będzie zginąć na tém miejscu.

Wrodzona chęć w człowieku do zachowania życia swego, podała mi zbawienne sposoby; zacząłem odgarniać śnieg szablą, kosztowało mnie to wiele pracy, dostałem się nakoniec do ziemi, wyrwałem z niej kilka korzonków, których nieznałem, ale niezmiernie były gorzkie; tém się jedynie żywiłem przez trzy dni, błąkałem się bez żadnej nadziei ratunku, roztopy nowém mi niebezpieczeństwem groziły, chcąc się od nich uchylić, drapałem się na wierzchołki gór, skąd widziałem śnieg

rozpuszczony, zamieniony w potoki wszystko niszczące. Już się żadnego niespodziewałem ratunku, już Bogu polecałem duszę, i wzywałem miłosierdzia Jęgo, kiedy pies wasz przybiegł, i wrócił mnie do życia. Położył się przy moich nogach, łaszcząc się zdawał zachęcać, abym używał posiłków, które mi przyniósł; chleb i trunek wzmacniający pokrzepił moje siły zwątlone. Pieściłem mego dobroczyńcę, on zaś nadzwyczajną okazywał radość. Widząc, że się posilił, schwyciwszy mnie za suknię, ciągnął, i widocznie okazywał, żeby iść za nim. Prowadził mnie manowcami, omijał z ostrożnością niebezpieczne miejsca, nakoniec przywiódł pod tę dobroczynną strzechę; gdzie w

postaci Starca i Dzieciny, Aniołowie mają o mnie pamięć.” — „I zostaniesz z nimi czas jakiś, rzekł Bogumił z uśmiechem, trzeba Ci wypocząć po trudach podróży i poczekać sposobniejszej pory do drogi. Niedługo, coraz gorętsze słońce, stopi do szczytu śniegi, i wysuszy ziemię, wtedy śmiało puścimy się w drogę, bo i ja Ci będę towarzyszył. Chciałbym powziąć jaką wiadomość o Rodzicach tej Dzieciny, którą widzisz; w niemowlęcym wieku był im zabrany, niepamięta ich wcale, mam nadzieję w Opatrzności, że ich wynajdę; a i Ty zapewne pomocy mi swojej nieodmówisz. Biedna Dziecino; rzekł Hrabia, przyciskając Henrysia do serca, nieznales więc wcale Ojca, przy-

łożę wszelkiego starania, żeby Ci go przywrócić; lecz jakże mu zazdrościć będę! Jeżeli go nieznajdziemy, będziesz synem moim, zastąpisz mego, który może już nieżyje; jeżeli zaś Bóg mi go zachował, znajdzie w tobie brata.— Patrz, rzekł tu Henryś, spojrzawszy na Starca, jakim ja szczęśliwy! mój Ojciec, który jest w Niebie, opatrzył mnie dwoma na ziemi.”—

Trzy niedziele zeszyły przyjemnie Hrabiemu na rozsądnych rozmowach ze Starcem, na niewinnych z Dzieciąciem igraszkach, w opowiadaniu burzliwych życia przypadków. Drogi się już poprawiły, wybrali się więc w podróż, musieli iść piechotą mil piętnaście, bo nigdzie koni dostać niemożna
było

było; dla Starca osiemdziesiątletniego i Dziecka w jedenastym roku, najmniej trzech dni potrzeba było.— Ruszyli więc wraz z jutrenką, wstąpili wprzód do kaplicy błagać Boga, żeby pobłogosławił ich podróży, opatrzyli się w żywność, gdyż temi manowcami iść musieli, którymi tylko pastérze chodzą, lub myśliwcy ścigać kozy zwykli. Około południa siedli pod skałą na wierzchu której widać było kóz stado; odpocząwszy godzinkę, i posiliwszy się, puścili się dalej, i przyśli do przyjemnej doliny, małemi strumykami przeciętej, na której się pasła gromada owiec. Zdziwili się, niewidząc przy nich pastérza, lecz w krótkce postrzegli dosyć jeszcze młodą pastérkę, siedzącą pod

Mały Henryś.

skąłą, z której żywy źródło wytryskał, trzymała książkę i czytała z pilnością, była to rzecz szczególna w tej okolicy, gdzie lud był wcale nieoświecony.— Zatrzymali się podróżni, chcąc się jej przypatrzeć; była białą ubrana, kapelusze ze słomy, zieloną wstążką przewiązany, zasłaniał ją od słońca, twarz miała przyjemną, ale smutek wyryty był na wszystkich jej rysach, a łzy spadały niekiedy na książkę.— Bogumił, który niemógł patrzeć obojętnie na cierpiącego, zbliżył się do niej, chcąc wy badać przyczynę jej smutku. Lubo go nigdy niewidziała, poznała go przecież, z opisu mieszkańców doliny, którzy o nim często mówili, wstała więc i skłoniła się z uszanowaniem.

„Mój Ojciec! rzekła, już ja dawno mieszkałam w tej dolinie, boleść serca przywiodła mnie w to miejsce, i dotąd mi towarzyszy, sam czas nawet niemoże przynieść mi ulgi.— Ale niegodna jestem litości twojej, bom sama sprawczyną mego nieszczęścia.” „Tę większe wzbudzasz we mnie politowanie, rzekł Starzec, powierz mi nieszczęście twoje, o Córko! alboś mi Bóg dopomóż, że mu zaradzić potrafię.”— To powiedziawszy, prosił towarzyszy do podróży, aby się nieco oddalili.— Sam zaś, siadłszy przy pastierce, zachęcał ją do zupełnej ufności; rzekła więc na koniec: „Służyłam u jednej znakomitej Pani, która mi wiele świadczyła, i bardzo była na mnie łaskawa. Dzie-

liłam z nią staranie, a mogę mówić i miłość dla jedyne go jej Dziecięcia; i zaufała mi tak mocno, że, gdy smutna okoliczność przymusiła ją do oddalenia się, mnie je powierzyła.— Mogęż spomnieć bez najboleśniej s z e g o uczucia, jak go opiece mojej polecała, owe obietnice, które jej czyniłam, a którem tak źle dopełniła, niemiałam na chwilę odstąpić Dziecięcia, powierzonego méj staranności, dzień i noc miejsce Matki miałam zastępować.— Ach! powaby uciech i zabawy, lekko-myślność młodego wieku, wygładziły z pamięci tak święte przyrzeczenia.— Dziecię spało spokojnie, niewiedziałam, jakie mogło wyniknąć niebezpieczeństwo z oddalenia się na chwilę;

przecież kwadrans czasu przysposobił mi wieczną zgryzotę.— Rozbójnicy porwali małego Henrysia; ledwie m nieumarła z rozpaczy.— Trwożyłam się na przyjazd Pani, jak się trwożymy na przyście nieubłaganego Sędziego, przy końcu wieków.— Przyjechała! Wśród najboleśniej s z e j rozpaczy, ten Anioł dobroci litował się nademną, nieczyniła mi żadnych wyrzutów, bo wiedziała, żeby m ich nieprzeżyła.— Dość było dla mnie, patrzeć na jej boleść: sądząc, że mój widok dodaje jej gorczy, opuściłam dom, żałobą z mojej winy okryty; uszłam w te góry, gdzie nieprzestaję błagać Boga, aby przemienił nieszczęście, do którego byłam powodem, aby wrócił Matce nie-

utulonej zgubione Dziecię, zamienił w pociechę srogą jej boleść.— Alboż się Pan Bóg zmiękczy łzami, które codziennie w obliczu jego wylęwam.”

Starzec wśród mowy pastérki zaledwie mógł wstrzymać wyrazy podziwienia i radości swojej. Skoro skończyła, rzekł z rozrzewnieniem: „Zdaje mi się, Córko, że Bóg dobry wysłuchał prośby twoje. Spójrz na ten portret! (wziął go był z sobą dla poznania Matki Henrysia.) Jak tylko spojrzała na niego, krzyknęła z radości:”—„Wielki Boże! Hrabina Ejchenfels, moja najlepsza Pani, Matka Dziecięcia straconego! „Nowy powód podziwienia dla Starca, i uwielbiania ukrytych zrządzeń Opatrzności, która

mu pozwoliła ocalić życie Ojcu Henrysia. Zawołał na Dziecię, to widząc pastérkę łzami zalaną, rzekło tkliwie do niej: „czegóż Ty płaczesz? czyś chora? możeś głodna, weź ten chleb i sér.” Bogumił zaś powiedział: oto jest Dziecię, wzięte z tym portretem.” „Boże litościwy, krzyknęła Justyna, padłszy na kolana, wysłuchałeś modlitwy serca, boleścią znękanego, niechże będzie błogosławione Imię Twoje. Tyżes to, rzekła, przyciskając Henrysia do serca, niełudziże mnie sen zwoźniczy? — Oh nie, wątpię niemożę, podobny do Ojca, jak dwie krople rosy. Co? czy ty znasz mojego Oycę? może i Matkę moję? zawołał Henrys. Ach! zaprowadź mnie do nich; cóż-

bym dał za to gdybym mógł ich widzieć i uściskać.”

Hrabia, zbliżywszy się, niemógł obojętnie patrzeć na tak tkliwy widok, lubo niewiedział jeszcze, jak go zbliża dotyka. Henryś, w objęciu Justyny, czule się z nią pieścił. „Przewiduję, rzekł Hrabia do Starca, że twój wychowaniec znalazł Rodziców, dzielę ich radość; bo nieomylnie zapewni ich szczęście.” — „Oto jest Matka jego!” powiedział Pustelnik pokazując portret Hrabiemu. Zdziwiony Hrabia, odszedł od siebie, prawie w zachwyceniu. — „Ach! to moja Adelaida, zawołał po chwili, taką była, gdyśmy się pobrali. Także to ona dawno jęczy nad stratą Dziecięcia swego, może i uległa

srogięj boleści. Pójdź, Synu mój, na łono Ojca twego, znalazłem Cię za staraniem tego zacnego człowieka, takim; jakbym sobie mógł życzyć. Jakże mu się potrafię wywdzięczyć, za wychowanie twoje. Opatrzność, cudowną opiekę miała nad tobą; lecz największe jej dobrodziejstwo, że Cię powierzyła w takie ręce.” Henryś z największym uczuciem przyjmował pieczęty Ojca, i wzajemnie się z nim pieścił. — „Niepowinieneś się trapić, mówił do niego, Bóg który Ci syna przywraca, zachował zapewne moją dobrą Mamę, nagrodzimy jej wszystkie zgryzoty, kochając ją z całego serca. Ale, dobry Papo, pociesz też tę biedną dziewczynę, nieustaje płakać, a mnie tak bole-

sno na jęj lzy patrzeć. „Hrabia, wy-
ciągnąwszy rękę do Justyny, którą le-
dwie poznał, rzekł do nięj: puśćmy
w niepamięć, co minęło, niech spo-
mnienie winy, którąś tak gorzko opła-
kała, nieprzeszkadza Ci do dzielenia
naszję radości.”—

ROZDZIAŁ XVI.

*Dalsza podróż. Przyjazd. Okro-
pna obawa.*

Gdy się uczucia radosne nieco uśmię-
rzyły, Bogumił prosił Justyny, aby
mu przewodniczyła do domu swego
Pana; chcieli ją wziąć z sobą, należa-
ło więc wypowiedzieć służbę, i oddać
powierzoną trzódę, Zebrawszy owce
i baranki swoje, pędziła je przed so-
bą; Hrabia i Bogumił śli za nią, roz-
mawiając o cudach Opatrzności; Hen-
ryś zaś to ich wyprzedzał, to się za-

trzymawał, igrając z pieskiem Justyny, to kwiatki zrywał, lub motylki gonił.

Słońce już było na schyłku, gdy stanęli w wiejskim zaciszu, Justyna, wszystkich wyprzedzwszy, opowiedziała całe zdarzenie Panu swemu, przyjął gości z uszanowaniem i uprzejmością. Bogumiła znał dawniej, ucieszył się, że go miał w swoim domu, przyprowadził do niego dzieci swoje, dziewczynkę piętnastoletnią, i dwóch chłopców w wieku prawie Henrysia, aby ich pobłogosławił. Prosił, aby u niego przenocowali, dodając: „uczynicież mi przynajmniej tę łaskę, w nagrodę straty dziewczyny, którą z trudnością zastąpić potrafię.” Chętnie przystano na prośbę, żona jego zaję-

ła się wieczerzą, chcąc godnie uczestować tak miłych gości. Henryś nie chciał odstąpić chłopców, dziwił się mocno, że jest więcej takich ludzi małych, jak on. „Niewiedziałem tego wcale, mój Papo, ale powiedz mi, znajdzież ja takich małych w Ejchenfels?”

Wieczera smaczna i obfita, sen przyjemny, a nadewszystko zaspokojenie serca przysposobiły podróżnych do puszczenia się w dalszą drogę. Poczciwy wieśniak dał im przewodnika, który ich krótszą drogą prowadził.— Tego samego wieczora dostali się do miasteczka, gdzie można było nająć powóz i konie, odprawili przewodnika, a Bogumił płacąc mu, oddał wszystkie pieniądze, które miał przy-

sobie. Niecierpliwy Hrabia, chciałby dniem i nocą jechać, ale trzeba było mieć wzgląd na wiek podeszły Starca, i słabe siły Henrysia. Wsiadli tedy w wielką landarę, którą trzy nędzne konie ledwie uciągnąć mogły. Przykrość tak nudnej drogi osładzało szebiotanie Dziecięcia, dla którego wszystko było nowością i podziwieniem.— Nędzny powóz, w którym jechał zdawał mu się wynalazkiem wielkiego dowcipu; a gdy, wyjechawszy z gór, otworzył się widok przyjemny, kraj zamieszkały, mnóstwo ludzi czynnych, ożywiających ten obraz, wpadł w zadumienie, i wyrazić niemógł swego podziwienia. Skoro spostrzegł z daleka dom okazalszy, nicomięszkał się py-

tać; czy to nie Ejchenfels. Cztórnastego dopiero dnia spostrzegł Hrabia nad lasem starożytne, wyniosłe wieże mieszkania swego.— Uczuł gwałtowne bicie serca. „Mój Ojciec! rzekł do Starca, zmierzaj do końca podróży nasza, trwoga i niespokojność powiększa się we mnie. Wnijdźmy do tego lasu: chciej nas wyprzedzić z Justyną. Tu będziemy oczekiwać z synem przeznaczonego nam losu. Jeżeli żyje Adelaida, twoja roztropność przygotowuje ją do oglądania nas obu, jeżlim ją utracił, u Ciebie szukać będę siły do zniesienia tak okropnego ciosu”. Starzec, ścisnąwszy go w milezeniu, wysiadł z powozu, i wszedł z Justyną do dłużej ulicy, prowadzącej do zamku.

ROZDZIAŁ XVII.

Matka pocieszona.— Radość i wdzięczność.

Hrabina, od tylu lat życie w goryczy pędząc, odebrała wiadomość, że pokój stanął, w krótkce spodziewała się widzieć najukochańszego Małżonka. Lecz na tę myśl samę zaléwała się łzami. „Mój Boże! myślała: jakżem nieszczęśliwa! pomyślność powszechna jest dla mnie największym udręczeniem! Nędzna żona prostego żołnierza cieszy się z powrotu męża swego; a ja truchleję na samę

samę myśl, że w krótkce mojego zobaczę. Ach! jakże będzie strapiony! jak mu oznajmię tak okropną wiadomość? Niestety! niemasz dla nas szczęścia w tém życiu.”

Zawsze niespokojna, usiedzieć na miejscu niémogła: niepewne kroki już w pokojach, już do kaplicy, już do ogrodu zwracała. Zajmowała *j*ej umysł przytomność Boga, jako wszechwładnego Pana losów naszych, który, skoro zechce najsmutniejszym wypadkom pomyślny koniec dać może. Ta luba myśl jedynie koila *j*ej troski i przywracała spokojność. Dobry Boże! (mówiła raz, siedząc w zaciszu najciemniejszego w ogrodzie gajku) zlituj się nademną, zlituj się nad mężem moim.

Mały Heuryś.

im! połóż tamę uciskom naszym.—
 Odwieczne wyroki twoje rozdzieliły
 Ojca, Matkę i Syna; wróć nam to
 ukochane Dziecię, złącz nas, abyśmy
 Cię razem błogosławić mogli, a wzno-
 sząc spólne do Ciebie głosy i serca
 nasze, abyśmy wysławiali miłosierdzie
 Twoje. O mój Ojczy, najlepszy z Oj-
 ców! jakiegokolwiek są przewinienia moje
 przeciw Tobie, nieprzestałam jednak
 być Dziecięciem Twojem, wysłuchaj
 prośby moje! nieodrzucaj córki stra-
 pionej, która w Tobie jedyną pokła-
 da nadzieję”.

Kończąc te słowa, słyższy szelest, oglą-
 da się, spostrzega Justynę, która, wy-
 przedziwszy Pustelnika, biegnie ciem-
 ną ulicą. „O najlepsza i najdroższa

Pani, rzecz, rzucając się jej do nóg,
 Bóg mi pozwolił ukoić te łzy, które
 z mojej winy tak obficie płynęły. Bóg
 mi pozwolił przynieść Ci pociechę; przy-
 szedł już kres nieszczęściom twoim.”
 Tkliwa Matka zmiészana, drżąca, już
 otwierała usta, chcąc się dowiedzieć,
 co znaczą tak pocieszające słowa, kie-
 dy nadszedł Bogumił, i oznajmił, że
 wkrótce Syna oglądać będzie. „Cór-
 ko moja, rzekł dalej, przyjmij z umiar-
 kowaniem pociechę, którą Ci Bóg zsy-
 ła; lecz nieograniczaj wdzięczności two-
 ję za tak wielkie dobrodziejstwa, są
 pewne wiadomości, że Męza niebawnie
 ujrzysz.” — Hrabina słuchała słów
 Starca, jak Anioła pocieszyciela. „Mój
 Ojczy, zawołała niémogłażbym widzieć

mojego Syna?"..... Ledwie skończyła te słowa, kiedy postrzega Hrabiego, prowadzącego syna za rękę.— „Maż mój..... Syn mój”..... woła, więcej mówić niemoże.— Hrabia przyciskał ją do serca, Syn u nóg jej leżał.— Długo słów znaleźć niemogła, lecz obfite łzy, spadające na twarz Męża i Syna, tłumaczem były jej serca.— „Teraz, rzekła nareście, umrę szczęśliwą. O jakże godném jest podziwienia wszystko, co Bóg czyni! ja drżałam na samę myśl, jak Ci się pokazać bez Syna, a Ty go powracasz. O mój Boże! póki żyć będę, nieprzestanę uwielbiać Dobroci Twojej, nieulegnę nigdy pod ciężarem największych ucisków, bo Ty wszystkiemu zaradzić zdołasz.— Ale jakiż

on przyjemny, mój Henryś. O drogi Mężu, jakież to szczęśliwe połączenie było nam zgotowane, prawdziwy cud Opatrzności! złączmyż się razem, żeby jej najżywsze oddać dzięki.”— Dziękowali więc wszyscy Bogu, łzy radości rosily ich policzki, Justyna łączyła się z nimi, a Starzec rozczulony mile im się przypatrywał.

Shczęśliwa rodzina weszła do pałacu, gdzie wszyscy domowi uwiadomieni o tak pomyślném zdarzeniu, niewymowną okazywali radość. Hrabina ciekawa była, słyszeć przypadki Męża i Syna.— Henryś opowiedział swoje przyjemnie i szczerze, Matka raz się uśmiechała, czasem zapłakała.— Najwięcej wszystkich zajęło opisanie pier-

wszęgo wrażenia, jakie na nim uczynił widok świata, gdy się wymknął z pod ziemnych lochów; z większym jeszcze zapalem odmalował chwilę, w której Bogumił uwiadomił go o bytności Boga, Stwórcy i Rządcy tego świata; obfite łzy rosily policzki jego, gdy o tém mówił.— „Doprawdy, rzekł Hrabia, żałować zaczynam, że mój dziecinny wiek nieprzepędził w jaskini; widok spaniałej natury nadto nam powszednieje, przywyknienie przytępia uczucia.— O czemuż tak, jak Henrysiowi, w dojrzałym już wieku, te cuda wszechmocności Boskiej nie staną nam nagle w oczach? jakieżby nam żywe zostawiły wrażenia!— Wielki Boże! zachwycalaby nas Mądrość

Twoja, wskroś przenikała Dobroć; jakżebyśmy się unosili na widok tego spaniałego Nieba, téj ziemi bujnej, tego niezmiernego morza? uczucia podziwienia, wdzięczności nigdyby się niezatarły w sercach naszych?” Hrabi-
na zaś dodała z rozrzewnieniem: „nasz Henryś; dostawszy się z ciemnych lochów do światła słonecznego, doświadczył tego, czego my doświadczamy, przenosząc się z tego życia do innego; bo, jak wszystkie te cacka, kwiatki, owieczki, które mu tyle przyjemności czyniły w jaskini, nieziemnym były obrazem spaniałych dzieł Boskich, tak téż, bez wątpienia, wszystkie ozdoby i roskosze tego świata, są tylko cieniem tych, których używać będziemy,

gli okazać powszechną radość. Hrabia, ze swojej strony, kazał obficie zastawić stoły, przy których wszyscy mieszkańcy dóbr jego mieścili się bez różnicy stanu. Henrysiowi mocno się spodobało wpośród tej rzeszy wesolej. Najwięcej jednak zbliżał się do starców, pozdrowiał ich z uszanowaniem, z każdym mile rozmawiał. Poczciwi starcy wznosili ręce do nieba, błogosławiąc to przyjemne Dziecię, które im Nieba wróciły. Hrabia, Hrabina, Bogumił mieszały się także pomiędzy wieśniaków, ten ostatni dawał im niekiedy nauki, z taką łagodnością, że serca przenikały. Przytomność jego utrzymywała wszystkich w obrębach przyzwoitych, tak dalece, że przez cały

czas zabawy nic się nie zdarzyło naganego.

Hrabia zajął się naprzód wytępieniem zbójców, którzy całe okolice niszczyli, i codzienne popelniali morderstwa; uzbroił przeszło sześciudziesiąt ludzi odważnych, zdatnych do boju, i posłał ich, aby wysłudzili jaskinię, w której się ukrywali. Przy końcu dwóch niedziel, wrócili z całą zgrają łotrów, których szczęśliwie zeszli w jaskini. Okuli ich po dwóch razem, a za nimi szła bryka naładowana rzeczami skradzionemi, na których stara Cyganka siedziała.

Wyjechawszy na dziedzieniec odešli od siebie z zadziwienia, ujrawszy Henrysia, siedzącego przy Ojcu. Nieszukali go w tedy, bo widząc drzwi że-

lazne, dobrze zamknięte, a niewiedząc o tój rozpadlinie, która była na końcu ulicy, zawałonej i trudnej do przejścia, sądzili, że wpadł w jaką przepaść, lub że go skały przytłukły. Zdziwili się więc, gdy go spostrzegli. „Spodziewaliśmy się, rzekł herszt, znaleźć w tém Dziecku nasze bezpieczeństwo, trzymaliśmy je w zakład ocalenia naszego, teraz wstecz obrócone zabiegi nasze, on jest zguby naszej przyczyną.” „Uznajże teraz, powiedział młodzieniec, obok idący; że jest Bóg, Mściciel zbrodni, obrońca niewinności. Lubo mnie nie minie zasłużona kara, cieszę się, że to Dziecię uszło rąk naszych, i wróciło do Rodziców. Ileż mi razy mówiła Matka to, czego teraz doświadczamy:

„Niech się zbrodniarz zagrzebie, jak chce, we wnętrznościach ziemi, Sprawiedliwość Boska i tam go doścignie.” Ten młodzieniec był to nieszczęśliwy Frank, chustką oblaną łzami zasłaniał twarz swoją, drudzy go łajali, wyrzucając mu niekzemną podłość. Przecież nie bojaźń śmierci łzy mu wyciskała, lecz zgrzyzota sumienia, hańba, którą okrył rodzinę swoją, sroga boleść, którą przejął serce Ojca i Matki.

Zaprowadzono złoczyńców do więzienia, i sąd się ich rozpoczął. Pomińmy starania, z jakim się Frank ukrywał, poznał go Henryś, niémógł patrzeć obojętném okiem na smutny stan przyjaciela, który mu tyle przyjemności był uczynił. Rzucił się Ojcu do

nóg, mówiąc: „kochany Papo! odmówiszże mi pierwszej łaski, o którą Cię proszę? przebacz biednemu Frankowi, ręczę Ci, że dość jest ukarany, bo od czasu, jak Rodziców opuścił, zawsze był nieszczęśliwy; na jedną chwilę nie widziałem go wesołym, przez cały czas pobytu z nim w jaskini. Spomnij także i na Rodziców jego, oni są godniejsi politowania niż Mama była, mnie straciwszy, bo oplakują stratę duszy jego, a ta jest nierównie większa od straty życia.” Hrabia ucieszony tak rozsądną uwagą, przyrzekł Synowi, że przyłoży wszelkiego starania, aby uwolnić Franka.

Henryś, odebrawszy tak słodką obietnicę, pobiął pędem do Justyny, pro-

sić ją, żeby poszła do kochanego więźnia, i ile możności osłodziła los jego, ożywiając nadzieję. Justyna, której się już szczęście uśmiechało, odtąd, jak wróciła do dawnej Pani, która Henrysia nad wyraz kochała, chętnie się tego podjęła: a Dziecię wdzięczne serdecznie jęj podziękowało.

ROZDZIAŁ XIX.

Kara zbrodniarzów.— Zakończenie dzieła.

Z zeznania samych złoczyńców okazało się, że Frank nigdy krwi nierozlał, że ich chciał kilka razy porzucić, że mu nigdy ufać niémogli. Skazano czterdziestu rozbójników na śmierć, Cygankę na wieczne więzienie, Frank zaś, wysiedziawszy sześć miesięcy w domu poprawy, miał być oddany Rodzicom. Gdy wyjeżdżał na miejsce przeznaczone, Hrabia rzekł do niego:

„wi-

„widzisz więc, że, jeżeli złe nieudzie kary, dobre niezostanie bez nagrody; coś czynił dla Syna mego, oddam Matce twojej. Za sześć miesięcy wrócisz do niej, a żeś ukrył nazwisko swoje, powrot twój niebędzie dla nich hańbą. Myśl, jak im nagrodzić, co uciérpieli z twojej przyczyny: powiedz tylko, a ja opatrę dla Ciebie uczciwy sposób do życia, a jeżeli się staniem godnym opieki, może Cię wyżej wyniosę.”

Wyrok zasłużony spełnił się na złoczyńcach. Bugumił dostarczał im z gorliwością pomocy i pociech, których Religija nieodmawia największym zbrodniarzom. Większą część udało mu się skłonić do pokuty. Ożywił

Mały Henryś.

w nich wiarę, wzbudził nadzieję, podali się wyrokowi, przyjęli śmierć na zadosyć uczynienie za życie występne. Herszt i starsi z nich, zakamieniali w zbrodniach, w bluźnierstwach życia dokonali. Bogumił nieodstąpił ich do końca, cieszył, utwierdzał nawróconych, płakał nad zgubą drugich.— Cyganka zastarzała w zbrodni, pojechała do więzienia, bez żadnej nadziei upamiętania. Rzeczy skradzione oddano właścicielom, którzy się znaleźli, z reszty Hrabia założył dom na wychowanie sierót.

Kraj, zabezpieczony od łotrów, którzy go niszczyli, w krótkce stał się kwitnącym, pod rządem Pana ludzkiego, czułego i sprawiedliwego. Bogumił,

pomimo usilnych nalegań Hrabiostwa, niechciał zostać przy nich, mówiąc: „ostatek dni moich pragnę Bogu poświęcić, większa do tego w samotności sposobność. Moja zaś tém mi jest droższa, że tam mogę być użytecznym bliźnim. Dość żyłem dla świata, nauczyło mnie doświadczenie, com na tém zyskał. Najkorzystniejsza sprawa w tém życiu jest, przysposabiać się do lepszego.”

Po tkliwém pożegnaniu, szanowny Starzec zléwał błogosławieństwa swoje na mieszkańców zamku.— Henryś, zalany łzami, rzucił się na ręce jego, ledwie go oderwać można było.— Hrabia i Hrabina odprowadzili go dość daleko. Wsiadłszy do powozu, rzekł

(132)

z słodkim uśmiechem: „Niech was
Bóg zachowa przy zdrowiu, niech
wam użycza pokoju, zobaczymy się
w Niebie.”—

K O N I E C .

